



Bronek
z Obidzy

Wiklinowe ptaki

100 wierszy

we

Wiklinowe ptaki

Bronek
z Obidzy

Wiklinowe ptaki

100 wierszy

Kraków 2015



**Książka dofinansowana przez: Urząd Gminy Łącko,
Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej,
Jadwigę i Ryszarda Jastrzębskich z Łącka
oraz Społeczno-Kulturalne Towarzystwo „Sądeczanie”**

Redakcja: Iwona Dudzińska

Zdjęcie na okładce: Wodospad w Obidzy, fot. Bolesław Faron

Projekt okładki i edycja komputerowa: Mateusz Nizianty

Zdjęcie Autora na czwartej stronie okładki: Marek Strzalkowski

Wybór wierszy: Autor

© Copyright by Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2015

© Copyright by Bronek z Obidzy, Obidza 2015

ISBN 978-83-63590-61-1

Opracowanie typograficzne: Mateusz Nizianty

Druk: Drukarnia Skleniarz, Kraków

Wydawnictwo Edukacyjne

Kraków, ul. Wielkotymnowska 35

www.we.pl | handel@we.pl | 12 638 00 50



Zollverein

W górach też pewnie niektóre świerki, tak jak te tutaj,
umrą niedługo, poczekać jeszcze, czy już dziś świeczkę
zapalić drzewom, tak jak ludziom?

Tutejsza dal ma swoje kształty, smukłe kominy
stoi w świecie, wiatraki kręcą myśli w głowach,
po hutach wygaszone znicze.

Myśl to nie czas, nie równa ziemi, inna się tylko
trafia we śnie, prawdziwa toczy kamieniami
poza horyzont, poza wieczność.

Wracam do czasu, stoję na nim, (tutaj jak nigdzie
zrobił swoje) położył myśli na kamieniach,
zapisal na nich całą przestrzeń.

Sinab Murani skończył latem, Ludwika Polak
w czasie wojny, Janka Pavlovic razem z bratem
Wystarczy już, bo coś ucieka.

Lepiej zapalę wszystkim drzewom, postawię świeczkę
sinej dali, przyklękę, by nie deptać czasu,
a może się pomodlić nad nim?

Okulickiego 51

Ostatni rozdział nie był o walce, nie był relacją z pól bitewnych, czytałem w nim o jednej matce, jak przepraszała świat za siebie.

Za to, że nosi suknie białe, pod farbą skrywa siwe włosy, do warg ma przyszywany uśmiech, wszczepione w oczy po dwa złote.

Za to, że nie czuć w niej żaloby, gdy wieczorami się rozbiera i zapomina o czymś ważnym wpatrzona w szpital Rydygiera.

Nie wiem, co było dla niej ważne, nie przeczytałem od początku, nie wiem też, za co przepraszała, przecież ten świat się tu nie kończy.

Niepokorny

Gdy mi powiedzą: zostań, pójdę, kiedy poradzą: idź, zostanę,
kiedy zaś każą żyć, to umrę, a kiedy umrzeć, wtedy wstanę.
Choćby i mnie się już nie chciało, to będę szedł, by iść bez końca
przez całe życie wieczność całą,
aż mnie nie nazwą: odchodzącym.

A kiedy nazwą, to przystanę, lekko podniosę się na palcach,
by jak wciśnięty w nie różaniec okręcić wpół i teraz wracać.
Jeszcze mnie nazwą: wracający, umierający, znowu żywy
niczym koronkę, którą w końcu
gdzieś tam daleko łączy krzyżyk.

Gdy dalej każą skończyć, zacznę i nie dam wplątać w ich różaniec,
kiedy mnie wreszcie z oczu stracą,
gdzie będę chciał, tam pozostanę.

Świeżo malowane

Kiedyś przyszli i posadzili we mnie drzewa.
Szanuj zieleni, już do końca pozostanie gdzieś w pamięci.
Szanowałem, choć nie miałem jej za bardzo czym podlewać,
więc te drzewa usychały, aby w końcu umrzeć we mnie.

Byłem słaby, chorowałem i płakałem.
Powrócili, aby niebo namalować w mojej głowie.
Co mi z niego.

Skoro dalej, jak z zielenią już na zawsze pozostanie,
że to niebo będzie dla mnie
tylko świeżo malowane.

Strefa ciszy

Czasami coś się we mnie budzi, zaczyna grać,
uśmiechać, nucić, i właśnie takim jestem ludziom,
którzy nie wiedzą, że to chwile

Odwracam się i jestem wilkiem,
inne powraca, tamto milknie

Czym dalej w las, tym większe drzewa, wilgoć tu czuć
i pleśń z moczarów, pajęczynową siecią ziewa
mgła rozwieszona na konarach.

Na oczy sieć, w uszy kaganiec,
powoli milknie psie szczekanie.

Po każdym kroku więcej mroku, niebo już nie jest drogowskazem,
kalendarz nie przyśpiesza kroku,
a zegar nic tu nie pokaże.
Tubylczy gwar i wilcze echa pochłania cisza nasączona,
próchnem jak zew, oddechem bagien,
muzyką, której stale szukam.

Noc gorącego lata

Prosiłem ich tylko o wodę,
ja tylko zimnej wody chciałem!
Dostałem coś na łżejszą głowę,
na lepszą mowę, zasypianie.

Zakryłem oczy, uciekałem,
czując, jak jad się wgryza we mnie.
Przecież ja czystej wody chciałem!
A nie z narkozą na codzienność.

Na pasterce mu grali

a zaczęło się wszystko tak fajnie najpierw anioł
zaśpiewał kolędę taką prostą zwyczajną i tanią
o tym jak się nić żywota przędzie

potem przyszli z golutkim Jezuskiem położyli go
w żłobku na sianie gdy dołączył aniołek na drobne
zaczynało się robić zwyczajnie

miał wycięty otworek na sercu by zmieściła
się każda złotówka kiwał głową a pieniądze
brzęcząc miały uśpić małego Jezuska

ruszył dzwon odpalono organy zatańczyły ognie
na choinkach Bóg się rodzi a moce truchleją
wyszedł ksiądz i ogłosił nam święta

Fabryka dusz

Kiedyś gdy ci włosy wyrosną do ramion
rzucisz ten góralski kapelusz co nieraz
ktoś na twoją głowę wkładał dla ozdoby
nie pytając czy chcesz czy taki wybierasz

Wspomnij o człowieku z cmentarza na bródnie
plecakiem na wszystko trampkach bez sznurówek
wiatrowanym płaszczu zbyt lekkim na grudzień
własnym placem zabaw w miejscu na pochówek

Ustną harmonijką w przerwie na zagrychę
wypuszczał duszyczki powietrzem z grzebienia
fabrykę zabawek pomiędzy kielichem
budował na placu zabaw wśród kamieni

Bez grosza przy duszy z zakłętych rewirów
fabryką dla lalek wszystkim nie na siłę
powiesz że też nigdy chciałbyś nie umierać
z własnym placem zabaw w miejscu na mogiłę

Fabryka dusz I

Grał jakby jutro miało nie przyjść na stare Bródno, tyłem do niej
poświaty z centrum, ludnych przedmieść, wielkiego miasta zimny płomień.
A mury runą, runą, runą, wznosił wysoko swój oczami,
z gasnącą dniem śródmiejską luną, pożarem miasta – wieczorami.

Pod pergolami na tablicach zerżnięte z Tory epitafia
szybko przyswajał, wypożyczał, hebrajski z jidysz – פֶּאַרַט (chybil trafil).
Mroczna kapela podwórkowa, plac zabaw w miejscu na mogiłę,
zwyczajna luna księżycowa nad jego miastem, które ginie.

Ubrany w czarne kapelusze z ostatnim dryfem sal barowych
skulony cień króliczej duszy, pochłaniał dreszcz harmonijkowy.
Mówił, że gra co noc, by zgłuszyć stukot łańcucha kajdaniarzy,
od fabryk dusz przez własną duszę w bródnowskie getto – jego azyl.

Czantoria

Nie mów, że późno na Czantorię,
jesienny dzień i my jesienni,
śmiało zdążymy przed wieczorem
wrócić z narkozą na bezsenność.

Wysoko można dużo więcej,
może się uda wiatr z konarów
powplatać w włosy, zamknąć w ręce,
uwolnić znów przy zasypianiu.

Nie bój się mgieł z potoków Wisły,
jesień jest dla nich przebudzeniem,
pozwól im żyć, nie broń by przyszły
zakwitły z dolin jak zlocienie.

Wlejmy ten widok w studnie źrenic
wraz z dopływami innych zmysłów,
narkotykowy splot tajemnic,
zamknijmy w sen, tak by nie prysnął.

Bywaj Czantorio nad Ustroniem,
żegnaj też wymyślona pani,
przyrzekam wam, że nie roztrwonię
co wzięłem z was na zasypianie.

Pokolenia

Choćby mi przyszło tylko wzrokiem wdrapywać się po stromych graniach,
ostatnią drogę skryć powieką – kłaniam się szczytom, zboczom – kłaniam,
za to, że mogłem kiedyś z bliska ujrzeć, jak w głaźnych rumowiskach
kamień wyrasta na kamieniu, podobnie ludzkim pokoleniom.

Mchem porośnięte, pierwsze w dole, śpią jak fundament pod kościołem,
a on – dla chwały, czy wygody – mówi o sobie – samorodny.
Jemu hosanna, jemu dzwony, te, co na spodzie przygniecione,
jak z kości proch pradawnych wojów, drobnutki druk, margines dziejów.

Gdybym miał, nawet tylko głosem, polecieć z wiatrem od Krywania,
zdejmę kapelusz z siwych włosów, wiatrowi nim się będę kłaniał,
nawet takiemu, który wszystko potrafi zmienić w karczowisko,
by w próchnie ze starych korzeni wyrosło nowe pokolenie.

Jeśli potrafię, chociaż gestem, wywołać echo na rozmowę,
już tylko za to, że tu jestem, pochylę bardzo nisko głowę.
Gdzie z kości proch, margines dziejów, szeptu echowych czarodziejów
z uchem przywartym do kamienia, posłucham znów o pokoleniach.

Gdzieś w listopadzie

Zabiorą matki parasole,
jak wcześniej chłopcy karabiny
i będą szły, jak siódma boleść
na ich mogiły.

Wyruszą z gór i tamte z dolin,
tak jakby wróg stał na granicy
i pójda ciem zbudzone roje
w pożogę zniczy.

Przy Rakowickiej

Przy Rakowickiej rude liście jak ćmy szukają po podcieniach
światelka, które gdzieś tam błysnie
i mech się wspina po kamieniach.

Tutaj, gdzie każda moc truchleje, na białą salę proszą cienie,
nim się dopalą czas uleje
z woskowych figur narodenie.

Odmienna noc jak inne noce, nawet do rytmów kolędniczych,
inaczej świece, baletnice
tańczą w objęciach czarnych zniczy.

W tę noc do innych niepodobną, gdy ma urodzić się dziecina
krakowski smog zjadł całe niebo
a po kamieniach mech się wspina.

Fakty przed muzyką

Jedynie on wyrasta ponad drzewa.
Tu mieszka Bóg! Zerwały się z nich wrony,
odlecą gdzieś i może zaczną śpiewać,
piękniej od dzwonów.

Miedziany ton odbity od plebanii
okrąży wieś i skończy na kościele.
Gdzie mieszka Bóg, choć tu zameldowany,
tylko w niedzielę.

Dziesiątki chat i strzechy pozlepiane
skrawkami pap, eternitowym złomem.
To właśnie tu! Boćki rozklekotane
wrzeszczą za tonem.

Złocisty dach nad wioską z eternitu.
Bim – bam, bim – bom, w oddali śpiew gawronów.
Droga na Łódź, a fakty przed muzyką,
głośniej od dzwonów.

Aby przeczytać dalej...
Zapraszamy do księgarni!

